ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. Listopada. ***№ 45.*** **Roku 1855.**

RAFAEL I FORNARINA.

Z francuskiego pana Méry.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 37. 38. 39. 40. 41. 42. 43. 44. Rozmaitości.)

14.

Odpust w Baccano.

Trwoga mówiliśmy znagliła Rafaela uchodzić jak najśpiieszniéj z domu Vanozzy, powód do ucieczki bardzo słuszny, chociaż go trudno połączyć z łagodnością charakteru i szlachetnością duszy Rafaela, a na co Vanozza liczyła. Ale w owym wieku gdzie podstępy, zdrady, trucizny, miały świadków co chwila, i kto jak Rafael czuł i widział, może kiedy i sam doświadczał skutków okropnych uniesień w zawiści, mógł się snadnie w podejźrzliwości włoskiéj domyślać zawziętości okropnéj, zwłaszcza przy charakterze tak stanowczym, a usposobieniu duszy tak śmiałém, z jakiém występowała przed nim Vanozza.

Ale jeszcze innego rodzaju obawa przenikła duszę Rafaela, i wprawiła ją w popłoch. Z natury miękkiego serca, i słodyczy szczególniejszéj, mógł tylko z boleśném spółczuciem patrzéć na cierpienia ludzi, zbliżał się ku nim z litością i dla tego jeszcze, że przy swojém usposobieniu do malarstwa kochał się w wyrazach uczuć gwałtownych na twarzy, równie jak w odrysach tkliwych i łagodniejszych.

Patrząc na te silne i wydatne odlewy serca, w rysach, gestach, i w mimice Vanozzy, czuł że jego przyrodzony popęd artystyczny, mógłby go wcześniéj lub poźniéj za daleko unieść, i złudzić ponętą i odwzorem widoków, lubo strasznych ale zawsze wiernych naturze, — i przejęła go wewnątrz obawa, by zwodnictwu Vanozzy nie uległ, i nie zdradził zaprzysiężonéj w sercu swojém wierności dla Stelli, i z czasem samochcąc nie stał się powodem zgryzot i nieszczęść najniewinniejszéj dziewicy, która z całém zaufaniem i w najczystszéj miłości jemu się poświęciła.

Ta też właśnie obawa, ten głos wrodzonéj szlachetności duszy, w obec głosu równie mu wrodzonéj żądzy zdejmowania obrazów z natury, ta walka wewnętrzna dwóch w sobie żywiołów przeraziła go więcéj, niźli podstępy Vanozzy obraziły, i dla tego uchodził od niéj

z pośpiechem, jak gdyby sam przed sobą chciał się uwięzić i zamknąć. Odetchnął dopiéro, gdy stanął przed obrazem swéj Stelli w domu, gdy się ze łzawém okiem wpatrzył w rysy słodkie i cudne dziéwczęcia, świéżo na płótno przeniesione, i w ich widoku zatopić mógł wrażenia silne, powzięte z portretu Vanozzy.

Ze stanu tego ocknęło go dopiéro przybycie Stelli, gdy pora nadeszła w któréj zwykle zchodziła przywitać ulubionego, przymilić się jego pamięci i zachęcić do pracy przyżyczając uroku swojéj piękności. Z żywszym dziś niż kiedy uczuciem uściskał Rafael kochane dziécię, zdawało mu się że wieńczy zwycięztwo nad walką wewnętrzną, na jaką serce jego było narażone, a o któréj Stella nie wiedząc, brała w niewinnéj szczerości za wyraz serdeczności kochanka. I odpłacając wzajemnością, dopominała się w nagrodę wykończenia dzieł podjętych, właśnie że kochała w nim nie samą osobę jego, ale jego geniusz, jego sławę; przyszłość i zaszczyty Rzymu, Włoch i całéj ojczyzny swojéj w osobie jego upatrywała. Za jéj téż powodem pracował odtąd z wytrwałością niepojętą, dzieła z-pod jego własnéj ręki lub pod jego nadzorem narastały tak, że się zdawało jak gdyby dnie u niego trzy, czterykroć były dłuższe, kiedy tyle plonu wydawać mogły. Co więcéj że zapał nie ostygał, i natchnienie nigdy nie zawodziło, tyle ta miłość gorąca a niewinna Stelli wywierała przemocy nad nim.

Śród tych prac zbliżał się dzień uroczystości w Baccano, oczekiwany z upragnieniem w Rzymie, w całéj okolicy, w gospodzie artystów, gdzie się Giaccomo z popisem gotował, i na ten dzień także odłożyła i Vanozza ostateczne swoje wysilenia. Dla pokrycia sprośnych zamiarów pałającéj zemsty, udaje przed światem, jakoby Donna Fiuma Rzym opuszcza, i do Wenecyi wraca; tymczasem potajemnie przebrana w strój męski, osiada w odosobnionym zakącie Rzymu, na pozór bawi się malarstwem, nocą odwiedza gospodę artystów sobie znanych, a kilka dni przed świętém w Baccano zachodzi do Mamy Lucyi z pożegnaniem jak mówi w przejeździe, lecz właściwie ażeby jéj w napój dosypać proszku, o którym wiedziała że trawiąc siły w pewnym a oznaczonym od woli czasie, męczeńskie dobijał życie. Chciała tém otruciem matki, zatruć szczęście córki, i dotknąć Stellę boleśnie wprzód nim co straszniejszego nastąpi.

Wreszcie nadszedł z wiosną dzień święta w Baccano; cały Rzym, możni i niżsi, lud miejski i wiejski z okolic zebrał się na nabożeństwo i całodzienną zabawę. Już wilią wyprzedzili wszystkich kupcy, przekupnie, kramarze i roztoczyli się taborem, a nazajutrz pospólstwo w strojach właściwych powiatu swego rozścieliło się taborem po błoniach i gajach nakształt kwiecistych kląbów, Arycyanki znane z białych nagłówek w czworokąt; Fraskatki z rantuszków długich a wyszywanych; Weletrzanki z opasek błękitnych we włosach, biedniejsze Ciociary w zawojach wełnianych, wszystkie w kataneczkach z rozpiętym gorsem jak strojny tulipan rozwarty, albo lilia od-

sklepiająca wybujałą z wewnątrz koronę. A wyraz twarzy do tego! Albanki z profilem wiekopomnych Rzymianek, ogień w oku, a postać Janony; Genzanki okazałe z tuszy; a Góralki córy Wolsków dziś jeszcze zapaśniczki piękności rzymskich; — przy nich malowniczy strój mężczyzn, dziwnie ujmuje oko, szczególnie owa sławna przepaska, zwana *fascia*, rozchwiewająca się jak tęcza około bioder w kolorach dzikich.

Wesołość rozlana po twarzach, i radość w sercu wszystkim rozwiera usta, brzmią odgłosy żartów, śmiechów, przymówek młodych ludzi przy tańcu, w chwilach przerwy zabiega hulaszczy *popolano*, tyle co chłopek, od kółka do kółka, i gotów bez obrazy wynurzać się z sentymentów każdéj kobiécie, która na nim jakowe wrażenie sprawi, chociażby i była gospodyni księcia kardynała.

Pod jednym z namiotów wawrzynowych zasiedli Paolo, Antonio Vanozzi i Giaccomo z towarzyszami. Właśnie Giaccomo odtańczył swoją Saltarellę, a rzesza wieśniaków otoczyła ich namiot przypatrzyć się jeszcze swemu bohatyrowi, którego oklaskami okryli. Młoda jakaś wieśniaczka z Subiaco przeciska się najbliżéj i w uniesieniu oświadcza, że go wyzywa na popis z sobą w zapasy, i nowe oklaski, nowa radość zabrzmiała w koło, uczeni nawet przyklaskiwali, a poeci marzyli odę do nowego Alphesibeja, którego Wirgili w swym wierszu uwiecznił.

Paolo i towarzysze szczęśliwi szczęściem kolegi swego, towarzyszą mu do areny, i piérwsi obsiewają go pochwałami, piérwsi unoszą się nad nim, bo jego sława jest sławą całego grona do którego należy; Antonio Vanozzi zdaje się jak gdyby czoło prowadził, tyle w nim wesela, tyle uciechy, pustoty, radości, powiedziałby kto, że cała ta uroczystość na jego cześć wyprawiona.

A jakże-ż tam z twoją historyą wenecką, wpadło na myśl kolegom, kiedyż koniec?

Nie zadługo, nim jeszcze słońce zajdzie będziecie wiedzieli; — odpowiedział Vanozzi. Dostałem listy, pod wieczór przeczytamy, a teraz bawmy się!

Zgoda, schowajmy powiastkę na pogadankę, szkoda czasu za dnia, kiedy zabawy czekają.

A zabawy rosły; coraz nowi przybywali goście, koła powiększały, grona się pomnażały, ruch, wrzawa, śpiewy, tańce, przy nich uciechy, zapały, niemal szały wzrastały. Każdy się wynurzał z uniesienia jak nim ochota napierała, w swobodzie nie wiązany ostrożnościami jak dzisiaj, każdy wytaczał jak chciał swoje zanęty, i nie wpadało téż nikomu w oko, że jakiś *popolano* w skokach i pląsach nieustannie okrążał namiot, gdzie nasi goście siedzieli. Chwilkę nadstawał, wpatrywał się między biesiadujących, i znowu przy wywoływaniach i piosnkach bujał po trawie. Nikomu nie było w myśli, by to miało co znaczyć, nikt téż nie dostrzegał znaku, jaki mu od czasu do czasu dosyłał Antonio, albo on Antoniemu. Widoczna że byli w zmowie. a domyślamy się, że zmowa Antonia pewnie na Rafaela godziła.

Ale właśnie Rafaela jeszcze nie było; a przyjaciele jego już się niepokoili. Schadzek publicznych w tym rodzaju

Rafael nie omieszkiwał nigdy, ważniejsze dzieła często zaniechał, byle się mógł przypatrzyć igrzyskom uczuć, i wyrazom twarzy jakich poźniéj w utworze dzieł swoich dobierał. Dotąd nie było go widać, a uczniom jego bez przytomności mistrza jakby połowę uczty ujęto.

Gdzieś poźniéj dopiéro gruchnęło między wieśniakami, tłumy się rozstępować, a odleglejsi naciskać zaczęli, poszeptem poszło, że Rafael przybył. Zbliżał się ku środkowi w poważnym swym czarnym stroju, który się z nim unieśmiertelnił, na ręku jego oparta, przybywała z nim najpiękniejsza z córek Rzymu, uwielbiona Fornarina. Na jego widok, za zbliżeniem każdy uchylał nakrycia głowy, kłaniał z uszanowaniem; znakomitsi i możni wyprzedzali się z powitaniem, ażeby uściskać dłoń męża, który okrył galerye Rzymu cudami utworów sztuki, starzy Rzymianie spoglądali na niego z chlubą, że im wskrzesił sławę starożytną, a młode dziéwczęta nie bez zazdrości patrzyły na tę, co zdobyła serce piérwszego malarza w świecie. Stella piérwszy raz z ukochanym mistrzem swoim na zgromadzeniu tak świetném, piérwszy raz dzieliła hołdy składane mistrzowi wielkiemu, i acz szczęśliwa w duszy i dumna z posiadania osoby i serca jego, z wstydliwą tylko skromnością przyjmowała pochwały, któremi lud i ją okrywał.

Giulio Romano wiódł ich, i wprowadzał do rotundy przygotowanéj na przyjęcie Rafaela i uczniów jego, których zwykł był zawsze przy takich uroczystościach spraszać i częstować.

W chwili gdy Rafael z Fornariną do rotundy wchodzili, zbliża się jakiś śmiały *popolano*, i obyczajem w dnie te pozwolonym, podaje Stelli w upominek wiązankę fiałków, jak mówi, świéżo dla niéj uzbieranych. Niewinne dziécię w radości swojéj już zamierza poić się ich świéżą wonią, gdy w tém inny *popolano* przypada, wyrywa z rąk jéj wiązankę, i przydeptując nogą woła:

Taddeo mi ją wykradł, ja mam inną dla ciebie pani, i przyjm ode mnie. Taddeo chciał zażartować ze mnie, i sam się przypodchlebić, ale ja mu odpłacę. I to mówiąc, podsuwa Stelli inną wiązankę fiałków.

Ale przyjacielu, mówi Rafael, mogłeś dać twoje fiałki, a nie koniecznie deptać tamtych.

Ah! Illustrissimo, coż poradzić, kiedy kogo gniew porwie.

Gniew zawsze nierozsądny; co kwiaty winne?

Przebacz panie Rafael! Ja znam Stellę kiedy dzieckiem była; mieszkałem lat dziesięć Via dei Coronari; a i ciebie panie Rafael znam od dawna, i zdawna cieszyłem się nadzieją, że przy dzisiejszéj uroczystości będę mógł złożyć moje uszanowanie, gdy właśnie ten Taddeo, nędznik!.. ale poczekaj! widzę go tam jak się kręci za tobą. — I rzucił się za nim; tymczasem Rafael, Fornarina i przyjaciele weszli w rotundę.

(Dokończenie nastąpi.)

ZAGRODA WIEJSKA.

Powiastka z piérwszych lat XIX wieku.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 43. 44. Rozmaitości.)

Wdzięcznie się chwieją pszeniczne kłosy,
Skąpane w kroplach wieczornéj rosy
Z obu stron drogi. Toż ucieszony
Stolnik, rad patrzy na bujne plony
Swéj pracy: onto dłońmi własnemi
Przed Matką Boską siewną, w jesieni
Ziarno pszeniczne siał w onę rolę,
I zdał swój zasiew na Bożą wolę.

On co dnia, czy to wicher, czy słota,
Wsparty na kiju, grzążnie wśród błota
I krąży wkoło wieczorną porą,
Między owczarnią, stajnią, oborą,
A ręka żegna na wszystkie strony;
Toć mu udziela Pan Bóg obrony
W wszelkiéj przygodzie, i od pół wieka,
Strzeże od gromu i złego człeka.

I teraz stolnik pogodném okiem
Patrzy, jak owce skryte obłokiem
Kurzawy, biegną.

Już się do krzyża
Żółta kolasa żwawo przybliża;
A poza krzyżem wleką sie pługi
Po cztéry woły, i szereg długi
Bron wraca z pola, unosząc z ziemi
Tumany pyłu. Skoki raźnemi
Sadzą kasztany; Grzesio wywija
Biczem. Wnet pługi i brony mija,
Aż w końcu na bok od siebie złoży
Ku wiosce. Naprzód mija dom Boży.
Stolnik się kłania, a za nim drudzy:
Bo co pan czyni, czynią i słudzy.
Wié stolnik o tém: to téż ni cienia,
Nie da czeladce wiernéj zgorszenia!

Potém się ciągną szeregiem chaty.
Znać, że kmieć każdy w wiosce bogaty,
Bo ma ogródek, czyste domostwo,
A co największa — i dziatek mnóstwo.

Przed każdą chatą, jako grzegółki
Bawią się w piasku drobne pachołki;
A wszak wiadomo, że kiedy darzy
Hojnie dziatkami Bóg gospodarzy:
To jakby złoto siał im u proga.
A kiedy rosną z pomocą Boga
Hoże dziateczki: to i na roli
Będzie podobno chleba do woli,
Gdy rąk nie braknie, by uprawiły,
Przy wspólnéj pracy swój zagon miły.
„Kogo Bóg stworzy, toć nie umorzy"
Kmiotek powiada; i rad się korzy,
Ilekroć z serca jego pociechą,
Dziécię zakwili pod nizką strzechą.

Stolnik rad patrzy na pacholęta:
Każde poznaje, każde pamięta
Nawet z imienia; a wiele pono
Na jego ręku wodą święconą
Krzyżem, ksiądz pleban znaczył z chrzcielnicy.
A chociaż mało widać różnicy
Między dziatkami, bo każde chłopię
Ma włos białawy, jakby konopie,
Ręce czerwone istnie jak raki,
I ogorzałe wszystkich buziaki.
I kosznliną jeno odziane,
A wszystkie równo krajką związane; —
Przecież je stolnik pozna i mrokiem,
Bo nic przed jego nie ujdzie okiem.
Wszystko pamięta, co kiedy było:
Którego roku zboże płaciło,
Którego lata był pomór srogi
Na bydło; kiedy na lud ubogi
Przyszedł głód straszny; kiedy na niebie
Bóg znak ukazał; w któréj potrzebie,
Z kim trud i znoje dzielił napoły;
Z kim jezuickie odprawiał szkoły;
Z kim był w palestrze niegdyś w Piotrkowie: —
Wszystko się w starca układa głowie.

I choć ksiąg stolnik nie wiele czyta,
Księga żywota stoi odkryta
Przed jego okiem: znane mu zgłoski,
Które w niéj palec zakreślił boski.

Niechaj się jeno stolnik rozgada,
Toć on każdego ojca lub dziada,
Babkę, prababkę znał doskonale.
I nieraz starzec w dziwnym zapale,
Słysząc jak ludzie do oszczerstw skorzy,
Obwinią kogo: pięść w kułak złoży,
I o stół bijąc — „bajka! — powiada —
Pamiętam dobrze zacnego dziada:
Dzielny był człowiek, a zacnych plemię
Nie marnie w świętą zstępuje ziemię!
Na Bożym świecie nie ginie cnota
W poczciwym rodzie: jakem Prandota!“
A na tak groźne stolnika słowa,
Dalsze potwarze każdy rad chowa,
I nikt szermierzyć nie śmié językiem:
Bo nie przelewki z starym stolnikiem
Toż kord gotowy lub karabela,
W obronie zacnéj krwi przyjaciela.

Otóż i dworek otynkowany
Bieluchno wapnem; trochę już ściany
Zapadły w ziemię. I nie dziwota:
Blizko dwa wieki, Jacek Prandota
Pradziad stolnika, z wołoskiéj sprawy
Wróciwszy do dom, ledwie znój krwawy
Otarł, wnet skromny dworek wystawił
Na swym zagonie. Bóg błogosławił
Panu Jackowi przez długie lata;
Bo choć w młodości niemało świata
Przebiegł, i użył biédy niemało:
Przed śmiercią przecież rodzinę całą
Widział w znaczeniu. Starsze dwa syny
Z królem Leszczyńskim, obcéj krainy
Zwiedzali progi; młodsi w powiecie
Rej prowadzili: jeden w birecie
Na Jagiellońskiéj zasiadł wszechnicy;
Drugi przeorem nawet w stolicy
Był u Paulinów . . . .
. . . .

Toż i pan stolnik czci pamięć Jacka,
I rad pogląda, jako junacka
Na konterfekcie starca postawa,
Nieraz mu ducha jakoś dodawa
W ciężkiéj przygodzie: więc go w komnacie
Główněj umieścił. Pan Jacek w szacie
Karmazynowéj, na karabelę
Rękę zakłada; włosów niewiele
Na podgolonéj widać czuprynie:
Toż za to wąsem nielada słynie
(A długi, biały, istnie jak mléko).
Brew jeno ciemna ponad powieką,
A najeżona, dając mu srogą
Postawę, dziwną przeraża trwogą.

Przy panu Jacku konterfekt żony,
Z marmurkiem wkoło, zacnéj matrony,
Ciemny kontusik; kołpaczek mały
Zdobi jéj głowę, a posiwiały
Włos, na pobladłe wije się skronie.
Znać z niezmąconym spokojem w łonie
Przebiegła długą drogę żywota:
To téż swoboda jaśnieje złota
Na zwiędłém licu, a uśmiech błogi
Świadczy, że na grób patrzy bez trwogi.

I innych mężów znanych z zasługi
Szereg na ścianie ciągnie się długi.
Toż stary stolnik ledwie w komnaty
Wszedł progi: wita one antenaty
Skinieniem głowy; a jeszcze wprzódy,
Krzyż znaczy kroplą święconéj wody,
Co z kropielnicą nad twardem łożem
Pod wizerunkiem przybita Bożem.

W komnacie sprzęty starego wzoru,
A nigdzie zbytku, nigdzie wytworu;
Bo ich się stolnik jak ognia boi,
Wiedząc, że naród prostotą stoi.

Zégar z kurantem wisi na ścianie,
Aż słychać zdala sekund cykanie.
Komin kapiasty; przy nim kaflany
Piec, w liczne wzory pomalowany.
Jest na nim Adam, wraz z matką Ewą,
I wąż ohydny, i rajskie drzewo;
Jest wieża Babel, i szereg świętych
Dziejów, z biblii prosto wyjętych.
A na drzwiach ręka stolnika stara,
Kacpra, i Malchra, i Baltazara

Miana skreśliła jeszcze w Trzy Króle.
Na biurku księga tuż przy szkatule
Spoczywa wiecznie: jedyna księga,
Co w niéj rad stolnik wieści zasięga.
Stary to herbarz, on pomnik złoty.
Między innemi przodków Prandoty
To go téż stolnik wielce uważa.
A obok miejsce dla kalendarza:
Tknąć go nie wolno; nawet Marcina,
Gdy go poruszy, stryj napomina.
Bo w kalendarzu, na karcie próżnéj,
Stolnik wpisuje, co mu kto dłużny.
A wkoło pełno ma wierzycieli,
Bo dobroć starca wszystkich ośmieli:
Każdy do jego szkatuły idzie
Jak w dym, strapiony w chwilowéj biédzie.
Choć o odbiorze długów nie marzy
Poczciwy stolnik: toć kalendarzy
Nie rzuca w śmieci. Tam zapisuje
Jak w którym roku zboże plonuje,
Czy mróz był srogi na święty Maciéj.
Czyli deszcz padał w dzień siedmiu braci;
A na Marcina, czy się sprawdziły
Wróżby, co o nich gąski prawiły?
Czy w wigilią świętego Jana
Plusk skoszonego nie skąpał siana;
Co gorsza, czy też, jak zwykle bywa
Z tego powodu, przez całe żniwa
Nie padał, aż do Urszuli świętéj,
I czy nie przepadł plon porośnięty?
Czy w okolicy, w dzień Palikopy,
Grom nie uderzył w pożęte snopy;
Po męczennikach czyli téż wreszcie
Było naprawdę mrozów czterdzieście?..

W środku komnaty, toż stół nielada
Stoi dębowy: tam stolnik siada
Z domownikami do zwykłéj strawy.
Gdy gość się trafi, tam i do kawy
Wojciech nakrywa; a stolnik rano
Polewkę z piwa, ze serem grzaną,
Tam rad zajada. Oj! lat niemało
Ów stół pamięta, a stoi cało!
Jak stolnik mówi, dawny jak dworek:
Nie jeden pękł tu wina gąsiorek;
A jak to było za króla Sasa,
Nie jeden za nim rozpuszczał pasa.
Oj! nie jeden tu wysechł dzban miodu,
A nigdy przy nim nie doznał głodu
Gość, ni domownik: bo stolnik stary,
Hojnie szafuje Bożemi dary.
Każdego w równéj czci on zachowa,
Byleby tylko szlachta herbowa:
Toż czy w kapocie, czy w karmazynie,
Wszystko za pan brat. Niedarmo słynie
Gościnność starca w całym powiecie:
I niedorosłe wié o niéj dziécię.
Każdy go kocha i każdy cnoty
Wielce starego ceni Prandoty.

Obszedłszy kąty, stolnik rad w duszy,
Natulił białą czapkę na uszy;
I wziąwszy w rękę kosztur sękaty
Skuty w żelazo, wyszedł z komnaty,
I jako zwykle w wieczorna dobę
Poszedł obejźrzéć swoją chudobę.
Choć mu nie wszystko może ku myśli,
Przez szpary patrzy; krzyżyk nakreśli
Jak co wieczora. A tak mu jasno
W duszy, tak miło przed strzechą własną,
Chociaż samotną: boć mu już w głębi
Gorzkie wspomnienie serca nie ziębi.
Rad więc sąsiada w końcu przed gankiem,
Ukryty starych kasztanów wiankiem,
I na omszonym laty kamieniu,
Wsparty na kijku, duma w milczeniu;
A przy nim drzma i Brysio stary,
A u stóp legną łowne ogary.

Wojciech się krząta koło wieczerzy,
Raz po raz okiem stolnika zmierzy.
I skinie głową.

Marcin nieboże
Rady dać sobie jeno nie może.
Wybiegł w ogródek, krąży nad wodą,
I niby widzi Marynię młodą,
Jéj cudne oko, jéj świéże lica;
A kiedy mignie promień księżyca
Pomiędzy lipy: zda mu się pono,
Że widzi w bieli swą ulubioną.
Ślady jéj w drżącym promieniu goni,
W uchu mu niby dzwoni a dzwoni
Dzwonek z Loretu srebrnemi tony,
Czy też Maryni głosik pieszczony.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sarkofag króla Sydońskiego

z staro fenickim napisem.

Odkryty temi czasy w Syryi koło Sydonu starożytny grobowiec jednego z dawnych królów Sydońskich, zajął ciekawość miłośników starożytności, niemniéj okazałością pomnika samego jak szczególnie napisem na sarkofagu, piérwszym w takiéj zupełności dochowanym, a bez najmniejszego uszkodzenia. Zawiera w 999 staro-fenickich znakach pisemnych, 22 wierszów rytych wprawną ręką na wieku sarkofagu, na którém oprócz tego wyżłobione jest popiersie w olbrzymich zarysach, jakiegoś z plemieńców rasy etyopejskiéj albo abissyńskiéj — nos płaski a usta wyrzucone.

Osnowa napisu znana nam jest w dwóch przekładach, jednym p. Meiera, drugim p. F. Dietricha poźniéj wydanym, i jak się zdaje, nierównie dokładniejszym; przynajmniéj p. Dietrich ma za sobą sławę biegłego znawcy, i wziętym jest między uczonymi w Niemczech. Za jego tekstem podajemy przekład polski.

„Miesiąca Bul roku czternastego mego panowania, króla Aszmunezera króla sydońskiego, syna Tabnity króla sydońskiego, powiedział król Aszmunezer mówiąc:

Rozkazałem gdy legnę w sen za dni spełnieniem, niech będzie pokój i odpoczynek zmarłemu. A spoczywać pragnę w tém łożu kamiennėm, w tym grobie który na tém miejscu zbudowałem, budując ozdobę królestwu całemu.

A nikt z ludzi niech nie narusza łoża tego, i nie szuka skarbów przy nas, boć nie składano skarbów przy nas, a niech nie unosi kamiennéj trumny z łoża mego, ani obciąża pościeli w łożu tém powałą nad niém drugiego łoża. A ktoby z ludzi zaprzedał grób nasz, tego obłożyć klątwą, i wywołujemy go z królewstwa całego. A jeźliby który otworzył ściel nad łożem naszém, albo uniósł kamienną trumnę z mego łoża, albo obciążył posłanie na tém łożu, temu niech nie stanie łoża u bogów jego, pogrzebanym niech nie będzie w grobie, i zatraconym niech mu zostanie syn i nasienie jego. Niech zadrzy przed świętém bóstwem i przyszłością swoją Król pełen sławy, który między nami panować będzie po naszym ustępie z państwa, ten król niech obłoży klątwami każdego, ktoby ściel łoża naszego otworzył, albo tę trumnę kamienną uniósł. Ktoby ją uszczerbił, tego skarz boże, niech się błąka i łaknie, niech się biedzi i kruszy, niech spadnie na niego nędza i urągowisko, póki żyw chodzi pod słońcem, bo nie miał miłosierdzia.

Rozkazałem, gdy legnę w sen za dni spełnieniem, niech będzie pokój i odpoczynek zmarłemu. Ja-to jeszcze, Aszmunezer król sydoński, syn króla Tabnity, króla sydońskiego, syn syna króla Aszmunezera króla sydońskiego; i moja matka Amasztoret, ksieni Asztorety, nasza pani, królowa, córka króla Aszmunezera, króla sydońskiego, myśmy zbudowali dom ten z fundamentu dla siebie, w Sydonie nad pobrzeżem morza, i myśmy sprowadzili tu Bostrat daleko z góry, i myśmy matce zbudowali dom z fundamentu, oparty schodami o górę, a dom bardzo wysoki, i myśmy pobudowali świątynię Elonowi sydońskiemu w Sydonie w dzielnicy przymorskiéj, dom Baalowi sydońskiemu, i dom Asztarcie w Sydonie na wzgórzu; a więc przydziel nam panie królów ozdoby i piękności krajów w wspaniałym ogrodzie państwa naszego, według miary dzieł wielkich, których dokonaliśmy, a niech nam chroni z niebios, granic kraju, ażeby utwierdzić Sydonów na wieki, chowając ozdobę całego królestwa.

Ale nikt z ludzi niech nie otwiéra ścieli nade mną, ani odgrzebia, ani obciąża posłania w łożu tém powałą nową, chroń się każdy wynosić trumny kamiennéj z łoża mego, ażeby mię nie oddalić od świętości, od bóstwa, od Elona, iżby obrzydził sobie to królestwo A człowiek któryby naruszył, przeklętym niech będzie na wieki."

Od jak dawnego czasu król Aszmunezer spoczywał w swém łożu, uczeni nie wyrzekli jeszcze; ale naruszył ściel łoża jego w styczniu roku bieżącego p. Thomson, członek misyi amerykańskiéj w Syryi, zamieszkały w dzisiejszym Sydonie. Czy on sam, czy Arabowie grzebiąc za skarbami na starym cmentarzu zamiejskim, dokopali się lochu, a w nim znaleźli i ten sarkofag nieuszkodzony z pięknego czarniawo-niebieskiego marmuru, i polerowany. Powstał spór, do kogo ma należeć? i nim się sprawa rozstrzygła, Basza tamtejszy całe wykopalisko zasypać kazał. Nie piszą jaki wypadł wyrok, ale jest doniesienie, że sarkofag Francuzi do Paryża unieśli; nie znaleźli w nim skarbów, jak sam Aszmunezer powiedział, lecz odkryli na wieku wewnątrz drugi napis, który dotąd jeszcze nie odczytany.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*